

Opowieści Pani Zosi

Dawno temu na Krymie

Jak przekazują ustne kroniki, mniej więcej w 1920 r. najmłodsza latorośl Zajaczkowskich, Ananiasz, który miał wtedy 17 lat i kończył liceum w Symferopolu, zorganizował teatr objazdowy wzdłuż południowego wybrzeża Krymu („o zgrozo, w takiej porządnej rodzinie!”) i całkowicie, duszą i ciałem poświęcił się tej „wałęsażącej się bałagańszczyźnie”. Pewnego pięknego dnia powiadomił, że zawita ze swoją trupą do Eupatorii i oczekuje godnego przyjęcia. Zniwalał ludzi, więc zastosowali się do polecenia. Młode, jeszcze podlotki, Zosia Jutkiewiczówna „Koza”, „Cyba”, cioteczna siostra Ananiasza (późniejsza bratowa Jakubowa) oraz Zosia Szpakowska „Tatianowna” zakrzatnęły się i przy pomocy starszych gospodyń przygotowały coś do zjedzenia, co tylko było w owych warunkach i w owym czasie możliwe. Przyjechali. Powitanie. Ananiasz wygłosił płomienną i porywającą mowę o kulturze, teatrze itd., itp. Starsi rozeszli się do domów, a młodzi pozostali, by głębiej zanurzyć się w kulturze. Mamy obu Zoś nakazały synom pilnować siostr i nie odstępować od nich. Atoli jak gminna wieść niesie, braciszkwowie opiekunowie „zwachali się” z aktorkami i gdzieś wyparowali. Tymczasem jacyś aktorzy zaczęli „zagadywać” dziewczęta. Ale Ananiasz czuwał, odstawił aktorów, a Zosie pognał do domu. Społeczność przyjęła to z zachwytem: „Zuch, co człowiek to człowiek, nie jak ci braciszkwowie-zaszczywęgły!”.

W sądzie

Przychodzi zdenerwowany siostrzeniec¹ do jednej z trzech swoich ciotek², rodzonych siostr matki i zwierza się zrozpaczony, że otrzymał wezwanie do sądu. Macocha³ oskarżyła go o obrazę. Był to już dorosły, samodzielny mężczyzna i ojca tylko odwiedzał. Nieraz przemówili się ostro z macochą, nie licząc się ze słowami, o czym czasem dochodziły do nas tzw. „shuchy”. Trzy ciocie-siostry żyły w wielkiej zgodzie i w sprawach rodzinnych działały zbiorowo. Więc ciocia i siostrzeniec udali się do drugiej cioci, złożyli relację i wszyscy troje pomaszzerowali do trzeciej cioci. Tu rada w radę postanowili wtajemniczyć i ciocię⁴, rodzoną siostrę ojca.

Ta ich wysłuchała i z miejsca zaofiarowała swoje usługi. W oznaczonym dniu oskarżony w otoczeniu czterech cioc stawił się w pałacu Temidy. Jak później przekazywano, oskarżycielka przyszła wysztafirowana, wszystko nowe: i kiepielusz, i suknia, i torebka, i rękawiczki, i pantofle, a w uszach złote cygańskie kolczyki (stare i cenne – dopisek mój). Macocha, młoda, ładna, energiczna kobieta, typ urody cygański, wyglądała raczej na żonę pozwanego, a nie na małżonkę jego ojca. Dawniej nowe ubranie wkładało się pierwszy raz w dniu świątecznym, do *kiensa* na nabożeństwo, celem wyświęcenia szat, by w zdrowiu je znosić. W tym wypadku uświęciła stroje Temida.

Strony udają, że nie znają się. Oskarżycielka chodzi napuszona, wyniosła, dumna, a obok obrońca sądowy⁵, również Karaim, w czarnej todze, jak jaki duchowny, z dużą teczką pod pachą. Też ludzi nie poznaje. Wchodzą na salę rozpraw. Tu już żadne pióro nie zdoła opisać, jak to obrońca rozkładał papiery, jak odczytywał skargę, jak modulował głos i jak upajał się psioczeniem pod adresem oskarżonego.

Staje ciocia, siostra ojca i zaczyna prezentację: „To jest mój bratanek, syn mego brata, to jego macocha, moja bratowa, to co on o niej mówi – to święta prawda, a ten obrońca, to mój szwagier, rodzony brat mego nieboszczyka męża, a jej – macochy – wuj. Patrzcie! Patrzcie! Jaki on ważny! Czyż ja go nie znam?”. Na to obrońca zaczął nerwowo zgarniać papiery, krzyknął do swojej podopiecznej po karaimsku „*Kutulabys!*” tj. „Uciekajmy!”, i wybiegł ciągnąc za sobą klientkę. I ciocia, nie czekając na zezwolenie Wysokiego Sądu, też sobie spokojnie oddała się. Woźny usiłuje jakoś zadziałać i powstrzymać ten exodus, czeka w pełnej gotowości na polecenie Wysokiego Sądu, czy sprowadzić policję, czy sporządzić protokół, a sędzia machnął ręką i podsumował psychologiczno-filozoficznie cały incydent: „Co nas to obchodzi, sprawa rodzinna, karaimska, nie ma obawy, nie pomordują się!”. I odłożył akta. Potem obrońca tłumaczył się przed bratankiem⁶, że został wciągnięty wbrew swej woli. Przychodziła, płakała, błagała o pomoc. Powoływała się na pokrewieństwo, a tym samym na obowiązek

obrony uciśnionej istoty nakazany przez Boga i świętą Torę. Pomimo wciągnięcia sił ziemskich i nadprzyrodzonych, „wszystko zostało po staremu” – jak to się u nas mówiło.

Dom gminny w Wilnie

Nie sposób pominąć Stefana, Polaka, barwnej postaci, nieodłącznego elementu Wileńskiego Domu Gminnego. Było to około roku 1930. Ciężka, mroźna, śnieżna zima. Jakub Poziemski sprząta ulicę przy *kiensa*. Podchodzi jakiś człowiek, widać biedak i ofiarowuje swoje usługi. Zgarnął śnieg, oczyścił oblodzony chodnik i jezdnię, a jako zapłatę prosi o gorącą strawę. Mogą być kartofle w mundurach, a na okrasę olej przesmażony z cebulką i może z łyżką kiszzonej kapusty. Bardzo skromnie. Wszak kartofle, olej, cebula, beczka kiszzonej kapusty i beczka kiszonych ogórków to podstawowe produkty w każdym ówczesnym domu. No i pragnie ogrzać się, bo przemarzł. Przedstawił się. Służył w armii Józefa Hallera. Walczył we Francji. Po ukończeniu 55 lat, co miało nastąpić chyba w 1940 r, przysługiwała mu emerytura rządu francuskiego.

I tak Stefan coś przyniósł, coś pomógł, coś wyniósł, coś zaniósł i zadomowił się w Domu Gminnym. Czy to świętek, czy to piątek, czy zabawa, czy jakieś spotkanie Karaimów, obecność Stefana nikogo nie raziła, nikomu nie przeszkadzała i nikogo nie krępowała. Przyłgnał do nas i zaakceptowaliśmy go. Często korzystaliśmy z jego usług.

W dni targowe, we wtorki i piątki, przyjeżdżali Karaimi z Trok do Wilna z ogórkami. I tu, na rynku nie zabrakło przy nich Stefana. Pilnował towaru, przestawiał worki, czasem odniósł komuś do domu zakupione ogórki. Zawsze znalazło się jakieś zajęcie. Przy tym był to człowiek inteligentny, spokojny, dyskretny, wszechobecny i jednocześnie nie narzucający się i nie krępujący. Oczytamy, zorientowany w sytuacji polityczno-społecznej, krajowej i międzynarodowej, a jego znajomość geografii, historii i literatury nie ustępowała wiedzy absolwenta średniej szkoły.

Marysia, zaprzyjaźniona z Karaimami właścicielka straganu warzywniczego na targu, poprosiła mamę, by wyswatała ją Stefanowi. Marysia miała nieślubne dziecko, chłopca. Pragnęła takiego właśnie uczynnego i grzecznego, przyzwoitego opiekuna dla siebie i dla dziecka. „Chłopak zna Stefana, bardzo go polubił, a i Stefanowi chłopak nie jest obojętny” – mówiła. Mama zaczęła namawiać Stefana do małżeństwa z Marysią. Stefan nie reagował,

milczał. Mama uznawszy milczenie za odmowę, powiedziała Stefanowi kilka ostrych słów, podejrzewając, że nieślubne dziecko stoi na przeszkodzie. Na to Stefan odpowiedział: „Kamila – do wszystkich zwracał się po imieniu – mylisz się, i to bardzo. Ja bardzo szanuję Marysię i ją ją wyswatał mojemu znajomemu kolejarzowi, wdowcowi. Na Święta, zbliża się właśnie Boże Narodzenie, idziemy do niej z wizytą”.

I opowiedział swoje dzieje. Był zakrystianem. Wybuchła wojna. Został zmobilizowany. We Francji, w armii Hallera, już jako podoficer, walczył pod dowództwem oficera rezerwy, Francuza. Po wojnie dowódca zaproponował mu pracę w swoich Winnicach. Zgodził się. Pozostał we Francji. Stefanowi powodziło się, miał piękne mieszkanie, wykwintne stroje, cieszył się szacunkiem i poważaniem. Nagle nastąpił jakiś nieoczekiwany, gwałtowny, straszliwy atak – to choroba św. Walentego zwałała go z nóg. Stracił wszelką zdolność do pracy, długotrwałe leczenie nie przyniosło ulgi, a wyczerpało wszystkie jego zasoby. Profesor poradził wracać do kraju, może rodzimy klimat uzdrowi. Przyjechał. Ledwo dowlókl się do rozstajnych dróg w pobliżu rodzimych stron. Na pagórku u stóp przydrożnej kapliczki żarliwie modlił się do Matki Boskiej i prosił, błagał, płakał, by go zabrała, albo uzdrowiła, i ślubował, że w wypadku wyzdrowienia wyrzeka się osobistego życia, szczęścia, wszelkiej własności, będzie prowadził życie bezdomnego tułacza i w ubóstwie, będzie pomagał dobrym ludziom za strawę i przyodziewek umożliwiające mu bytowanie. Wyczerpany usnął. Budzi się. Zmierzch. Ale czuje się bardzo lekko, jak nigdy. Początkowo zdawało mu się, że to sen. Wstał i oddalił się. Nie wrócił nigdy do rodzimych pieleszy. Rozpoczął nowe życie. „I tak – mówił – trafiłem do Was, Karaimów, i tu zostałem z wami. Wy jesteście kulturalni, spokojni, żadnych awantur, bójek, bijatyk, zawsze mam pod dostatkiem jedzenia świeżego, zgotowanego, ciepłego, a co najważniejsze, nikt z was nie częstował mnie, nie kusił wódka, nie zmuszano i nie namawiano do picia. Ataki już nigdy nie powtórzyły się. Żyję zgodnie ze złożonymi ślubami”.

Zofia Dubińska

Przypisy:

- ¹ Jakub Nowicki (1906-1982), syn Józefa i jego pierwszej żony, Nadziei z Ławreckich.
- ² Siostry: Anna Pilecka (1874-1942), Tatiana Szpakowska (1878-1857) i Zofia Kobecka (1883-1953), z domu Ławreckie.
- ³ Zofia z Rojeckich Nowicka (1891-1973), druga żona Józefa.
- ⁴ Pelagia z Nowickich Michajłowiczowa (1875-1952), żona Eleazara Eliasza Michajłowicza.
- ⁵ Izaak Michajłowicz (1873-1963), adwokat, obrońca sądowy, brat matki Zofii z Rojeckich Nowickiej.
- ⁶ Szymon Michajłowicz (1903-1986), leśniczy, syn Pelagii, bratanek adwokata.